

# Karaimskie dorastanie w Rafałówce

*Dzieciństwo na Wołyniu  
i czas wojny wspomina  
Nazim Rudkowski.*



Fot. archiwum rodzinne

Nazim Rudkowski  
(1929–2015).

Wśród niewielu pozostawionych przez mego ojca, Sergiusza Rudkowskiego, książek i broszur o tematyce karaimskiej poczesne miejsce zajmują wydawane od połowy 1911 roku w Moskwie w języku rosyjskim miesięczniki „Karaimskaja Żiźń”, w których publikowano m.in. *Zapiski karaimskiego szkolnika* (Zapiski karaimskiego uczniaka), autorstwa Ar. Katyka. Zapiski te czytałem w różnym wieku, od lat dziecięcych do późnej starości, zawsze jednak z takim samym zainteresowaniem i wzruszeniem. Wyobraźnią przenosiłem się wówczas w „dawno minione dni” licznych karaimskiego dżymatu. Wchłaniałem atmosferę panującą w midrasz, jak i w ogóle w codziennym życiu karaimskich dzieciaków. Zazdrościłem, że mogły dorastać nie odczuwając niechęci lub wrogości ze strony współmieszkańców z Karaimami innych narodowości. Przede wszystkim zazdrościłem, że wzrastały wśród swoich rówieśników w poczuciu spokoju i bezpieczeństwa.

Bo jakże inaczej, w odróżnieniu od opisanego w *Zapiskach*, wyglądało moje – młodego Karaima – dzieciństwo i dorastanie. Nie było ani midraszu, ani kienesy, a dżymat stanowiła jedynie nasza czteroosobowa rodzina: matka Tamara, ojciec Sergiusz, mój starszy brat Selim i ja – Nazim. Zamieszkaliśmy bowiem w tym czasie, jako jedyni Karaimi, w miejscowości Nowa Rafałówka. Była to w zasadzie dzielnica dość dużego, jak na warunki Kresów Wschodnich, miasteczka Stara Rafałówka, położona kilka kilometrów dalej, przy linii kolejowej łączącej Kowel z miastem powiatowym Sarny. W Starej Rafałówce miały siedzibę władze gminne, urząd pocztowy, 7-klasowa szkoła powszechna, posterunek Policji Państwowej, apteka, prowadzony przez lekarza, Rosjanina, z pomocą żony, pielęgniarki, prywatny ośrodek zdrowia oraz ochotnicza straż pożarna. Znajdo-

wała się tam także żydowska szkoła prowadzona przez Tarbut<sup>1</sup>.

Uprzednio mieszkaliśmy w Łucku, gdzie mój ojciec pracował jako urzędnik Izby Skarbowej. Jednakże po przejściu na emeryturę postanowił przenieść się bliżej natury, uzyskując przy tym dodatek z tytułu przeniesienia. Wybór padł właśnie na Nową Rafałówkę, gdyż zamieszkiwali tam bardzo bliscy nasi znajomi, co miało być pomocne dla szybszego zaadaptowania się w nowym miejscu i w całkowicie nowym środowisku. A środowisko to było typowe dla tamtego rejonu ówczesnych Kresów Wschodnich: większość stanowili Ukraińcy i Żydzi, następnie Polacy i niewielu Rosjan. I oto w takim miejscu, mając niespełna trzy lata, znalazłem się nagle i niespodziewanie, a los kazał mi przebywać tam do trzynastego roku życia. Miałem więc wiele czasu by poznać doskonale specyfikę życia w tak maleńkiej diasporze karaimskiej i w całkowitym oderwaniu od własnego środowiska. O istnieniu w Polsce karaimskiej mniejszości narodowej wiedziało w naszym nowym miejscu zamieszkania jedynie środowisko miejscowej inteligencji. O stosunku do nas mieszkańców narodowości żydowskiej opowiem w dalszej części wspomnień.

O tym, że jestem Karaimem i co z tego faktu dla mnie wynika, dowiedziałem się znacznie później. Tymczasem podczas jednego z pierwszych z moim bratem spacerów „w plenerze” wręcz zgłupiałem i absolutnie nie mogłem pojąć, dlaczego zostaliśmy przywitani przez grupę miejscowych wyrostków okrzykami: „Patrście, idą karaluchy”! Nie mogłem bowiem pojąć, czym możemy swoim wyglądem przypominać te niezbyt miłe stworzenia. Dopiero mój brat nieco później wytłumaczył mi, że słowo karaluch jest bardzo „milutkim” określeniem Karaima. W prawdzie rodzice starali się nam wytłumaczyć, że są to przejawy tylko skrajnej

Nazim ze starszym  
bratem, Selimem. Łuck,  
ok. 1930 r.



Fot. archiwum rodzinne

głupoty dzieciaków, czy też podrostków i nie należy po prostu zwracać na to uwagi, mimo to drażniły nas tego rodzaju zaczepki i mieliśmy wątpliwości, że to wymysł tylko „wrednych dzieciaków”. Przecież nikt z nas nie nagłaśniał karańskiego pochodzenia, a zatem tylko od starszych osób, zwłaszcza swoich rodziców, mogły się one o tym dowiedzieć. Wszak nasze imiona w żaden sposób z tą nazwą nie mogły się kojarzyć. Wprawdzie w czasie przebywania w szkole nikt nas nie częstował takimi epitetami, ale wystarczyło wyjść poza teren szkolny, by znowu spotkać się z nimi. Oczywiście zaczepki te doprowadzały mnie do wściekłości, ale mój wiek i usposobienie, a także nienadzwyczajne walory fizyczne powodowały, że starałem się, zgodnie z radami rodziców, takie zaczepki ignorować. Inaczej nieco podchodził do tego mój brat Selim. Był ode mnie o cztery lata starszy, znacznie odważniejszy i zdeterminowany do aktywnego przeciwdziałania wszelkim przejawom znieważania nas z tytułu naszej „inności”. Silny i wysportowany, a nadto inteligentny i doskonale uczący się, potrafił u rówieśników wzbudzić wobec siebie respekt. Ci, którzy respektu tego nie odczuwali, w krótkim czasie przekonywali się, że nie warto było z nim zadzierać.

W takich to warunkach wzrastaliśmy z bratem w otaczającym nas środowisku rówieśników. Mimo wszystko zaprzyjaźniliśmy się wkrótce z kilkoma odpowiadającymi nam wiekowo chłopakami, którzy w znacznej mierze pomogli nam czuć się równymi wśród siebie równych. Pomagała nam w tym również inicjowana przez nauczycieli nasza aktywność w życiu szkoły poprzez branie udziału w różnych uroczystościach związanych ze świętami narodowymi, a także w innych imprezach szkolnych. Brat nadto uczestniczył we wszystkich szkolnych zawodach sportowych, uzyskując z reguły bardzo dobre wyniki. Mimo wszystko poczucie pewnego odosobnienia nas nie opuszczało. Ojciec, wychowując nas w poczuciu patriotyzmu do Polski, stale przypominał, że pozostajemy w dalszym ciągu osiadłymi od wieków w Polsce Karaimami polskiego obywatelstwa. Wiele opowiadał nam o naszych przodkach zamieszkujących w dalekiej przeszłości na Krymie, o tym, że niektórzy z nich, zwłaszcza z rodu Sinani, odgrywali znaczącą rolę w społeczności karańskiej, ale też i o tym, że Karaimi od czasu osiedlenia się w Polsce cieszyli się zawsze szacunkiem i przychylnością władz polskich. Opowiadał, że chorągiew składająca się z Karaimów pełniła straż przy księ-



Fot. archiwum rodzinne



Fot. archiwum rodzinne

Rodzice: Tamara z domu Majewska i Sergiusz Rudkowski.

ciu Witoldzie, tym, który nas z Krymu przesiedlił. Inaczej mówiąc, wychowując nas w duchu patriotyzmu polskiego, wpajał w nas również poczucie patriotyzmu karańskiego. Wszystkie tego rodzaju nastawienia ojca przyjmowaliśmy jako nie podlegające żadnej wątpliwości, rozumiał on jednak, że poczucie patriotyzmu karańskiego, wobec braku bezpośrednio kontaktu z naszym rodzimym środowiskiem, trudne będzie na dłuższą metę do utrzymania.

Stąd też starał się stworzyć nam namiastkę domu karańskiego, w czym, jak mogła, pomagała mu matka. Ona to, nie znając języka karańskiego<sup>2</sup>, uczyła nas modlitwy „Ojcze nasz” po karańsku, nazw różnych przedmiotów codziennego użytku, zwracania się do ojca *atuńczyk*<sup>3</sup> itd. Ona to ciągle namawiała go, by uczył nas języka karańskiego, argumentując, że „jacy to z nich (tj. ze mnie i Selima) będą Karaimi, jeśli nie będą umieli porozumiewać się w języku ojczystym”. Ojciec jednak uważał, że należy nas nauczyć czytać po hebrajsku, uzasadniając to tym, że teksty modlitewników drukowane są w tym świętym języku, stąd też każdy Karaim, chcąc uczestniczyć w nabożeństwach karańskich, powinien przynajmniej umieć czytać.

Niestety... Ani czytać po hebrajsku, ani porozumiewać się w języku karańskim ojciec nauczyć nas nie zdążył. Na to po prostu nie miał czasu, który pochłaniał mu szereg innych zajęć, zwłaszcza opracowywanie słownika karańsko-polsko-niemieckiego oraz porządkowanie swojego dorobku literackiego sporządzonego w języku karańskim. Ponadto przecież zajmował się pracami gospodarczymi, nie rezygnując z kontynuowania swoich innych zainteresowań, jak hodowla kur rasy holenderskiej itp.

Niezależnie od tego, wydaje mi się, podstawową przeszkodą w nauczaniu nas języka karańskiego było to, że nie mieliśmy przecież na co dzień żadnego kontaktu z tym językiem, bowiem w naszym domu z przyczyn oczywistych język ten nie był używany, a innych Karaimów w Rafałówce nie było i być nie mogło.

W odróżnieniu od nas (tj. mnie i brata) rodzice znacznie szybciej weszli w środowisko miejscowej inteligencji polskiej i rosyjskiej. Ojciec, nawet po przejściu na emeryturę i po przeprowadzeniu się do Rafałówki, był w dalszym ciągu przystojnym starszym panem, reprezentujący wysoki stopień kultury, był nadto czytany i wyróżniał się znacznym poczuciem humoru. Właśnie wspomniane walory ojca oraz pogodny i niekonfliktowy charakter matki



Fot. archiwum rodzinne

„W dniu imienin Wowy,  
Fotografia wykonana w  
Rafałówce w lipcu 1934.

przyczyniły się do nawiązania dość bliskich kontaktów towarzyskich z kilkoma rodzinami, że wymienię chociażby rodzinę naczelnika urzędu pocztowego. Synowie naczelnika, starszy – Jurek i młodszy – Mietek, stali się przyjaciółmi moimi i Selima. Do grona bliskich znajomych rodziców, poza zaprzyjaźnioną z nimi jeszcze z czasów łuckich panią Pawłowską, zaliczała się wspomniana wcześniej rodzina miejscowego lekarza oraz rodzina leśniczego. Z rodzinami tymi rodzice wymieniali się wizytami i przyjęciami, spędzali wspólnie czas przy preferansie. Nie słyszałem, by kiedykolwiek ze strony wspomnianego środowiska inteligentkiego rodzice moi spotkali się z jakimkolwiek przejawem niechęci lub uwłaczającymi nam, jako Karaimom, uwagami. Inaczej charakteryzowały się stosunki rodziców ze środowiskiem rafałowieckich Żydów. Z nikim z tego środowiska rodzice bliższych stosunków nie utrzymywali, a ze strony miejscowych Żydów odczuwaliśmy wręcz niechęć, jeśli nie wrogość. Nie mogło zresztą być inaczej. Otóż właśnie to ojciec nie ukrywał nigdy swej wyraźnej niechęci do Żydów. Jak rozumiałem z wypowiedzi na ten temat w toku jego rozmów z matką i z nami, jego zdecydowana niechęć do Żydów wynikała z faktu lansowanych przez kręgi żydowskich duchownych i uczonych antropologów nieprawdziwych poglądów o pochodzeniu Karaimów.

Otóż grono to utrzymywało, że Karaimi są pochodzenia żydowskiego, podczas gdy ojciec zawsze nam tłumaczył, że Karaimi mają pochodzenie turecko-chazarskie i że nie ma w nas ani kropli krwi semickiej. Jak się okazało, sądy mojego ojca w tej sprawie, oparte zresztą o wiele innych, już wcześniej znanych poglądów uczonych orientalistów i antropologów, również i spoza grona Karaimów, znalazły jednoznaczne potwierdzenie. Były to wyniki badań antropometrycznych przeprowadzonych w 1932 roku na Karaimach polskich przez międzynarodowy zespół uczonych<sup>4</sup>. Badania te zostały dostatecznie nagłośnione również przez Niemców, a najbliższa przyszłość wkrótce pokazała, jakie to miało znaczenie zwłaszcza dla Karaimów zamieszkujących na terenach okupowanych przez wojska niemieckie po wybuchu wojny polsko-niemieckiej. O tym, jakie to miało znaczenie bezpośrednio dla naszej rodziny, wspomnę nieco później. Zamieszkujący w Rafałówce Żydzi uważali nas za „odszczepieńców” żydowskich i całej naszej rodziny zbytnią sympatią nie darzyli. Mimo to nasza „mini diaspora” karaimska powoli wrastała w nowe

rafałowieckie środowisko, w niczym nie tracąc ze swej istoty. Wręcz przeciwnie, pomimo całkowitego oderwania się od współplemieńców (za cały okres naszego zamieszkiwania w Rafałówce, z innymi Karaimami spotkałem się jeden raz w czasie krótkiego pobytu u nas pani Gołubowej z jej synem Markiem), dzięki staraniom rodziców, ja i Selim byliśmy dumni, że jesteśmy Karaimami i nigdy, nawet przez moment, nie nawiedzała nas myśl, by wyprzeć się swojego pochodzenia. Przestaliśmy (przynajmniej ja) czuć zażenowanie z naszych imion, którymi tak niefrasobliwie obdarzył nas ojciec<sup>5</sup> i nigdy (przynajmniej ja) nie myśleliśmy o możliwości ich zmiany na inne. Na marginesie kwestii „obdarzania” swoich potomków przez rodziców, nie mogę powstrzymać się od refleksji, że wszyscy chyba rodzice nadając imiona swoim dzieciom, dążą do sprawienia przyjemności wyłącznie sobie, lub zaspokojenia wyłącznie swoich ambicji. Nie zastanawiają się w ogóle, czy realizując wyłącznie własne zachcianki, nierozsądnie nie skomplikują życia swoich potomków. Jestem przekonany, że nasz ojciec wyłącznie się tym kierował, nie licząc się przypuszczalnie w ogóle ze zdaniem naszej matki. Ta myśl nawiedzała i nawiedza mnie dotąd, gdy muszę lub wypada odpowiadać na mało taktowne pytania „A co to ma pan za imię?” i ile mnie kosztuje, by powstrzymać się od udzielenia równie „taktownej” odpowiedzi. A wkrótce przyszłość okupacyjna pokazała, czym taka „ekstrawagancja” ojca mogła się (również dla mnie) skończyć w czasie „kiwereckiego epizodu”, o którym będę jeszcze wspominać.

Tak wyglądało nasze życie w Rafałówce do końca września 1939 r. W międzyczasie brat ukończył z bardzo dobrym wynikiem ósmą klasę podstawówki, zdał bez szczególnych trudności egzamin do sarnieńskiego gimnazjum a w połowie pierwszej klasy uzyskał państwowe stypendium z miejscem w bursie. Inaczej mówiąc, parł do przodu jak burza. Ja starałem się, bezskutecznie zresztą, dorównać Selimowi, co w IV klasie szkoły powszechnej prawie mi się udało. Matka borykała się z codziennością, a ojciec kontynuował swoje ulubione zajęcia.

Wybuch wojny w dniu 1 września 1939 roku zastał naszą rodzinę w Janowej Dolinie (miejscowość nad Horyniem w pobliżu Równego, złożona z dwurodzinnych domków wybudowanych w lesie dla robotników z państwowych kamieniołomów bazaltu). Przenieśliśmy się tam w końcu sierpnia na zaproszenie pani Pawłowskiej, która już znacznie wcześniej przeprowadziła się tam z Rafałówki. Wówczas wybuch

wojny z Niemcami był oczywisty, a mieszkania w nowych budynkach usytuowanych w lesie dawały możliwość dostosowania ich na wypadek użycia przez Niemców gazów trujących. Gazów nie zastosowano, przeżyliśmy jedynie nalot lotniczy (nieszkodliwy zresztą). Po „oswobodzeniu”, czyli aneksji polskich terenów wschodnich 17 września 1939 r. przeżyliśmy tam zajęcie Janowej Doliny przez Sowieców. Co ciekawe, już w dniu 18 września miała miejsce próba przejścia miejscowości przez grupę nacjonalistów „bratniego narodu” ukraińskiego, czemu zapobiegł pozostający tam jeszcze posterunek Policji Państwowej.

Okres dalszego naszego życia w Rafałówce, po powrocie z Janowej Doliny do chwili wybuchu kolejnej, tym razem niemiecko-rosyjskiej wojny w czerwcu 1941 roku, upłynął bez szczególnych wydarzeń, które by można łączyć z naszą „specyfiką” narodowościową. Brat rozpoczął pracę zarobkową, gdyż szkoły ponadpodstawowej w Rafałówce przecież nie było, ojciec emerytury też już nie otrzymywał. Ja zaś uczęszczałem w dalszym ciągu do szkoły nazywanej już „dziesięciolatka”, z polskim językiem nauczania.

Tak więc z przyjściem sowieców skończył się okres naszej „walki” o uznanie naszego, rafałowskich Karaimów, prawa, by czuć się pełnoprawnymi obywatelami Polski, która niestety 17 września 1939 roku na byłych rubieżach wschodnich przestała istnieć. Tocząca się na pozostałych terenach Polski i w ogóle na zachodzie Europy wojna przecież nas nie dotyczyła i początkowo zdawało się, że kwestie narodowościowe dotyczyć już nas nie będą. Niestety, wkrótce rozpoczęły się wywózki Polaków na Syberię, ale i to zdawać by się mogło, nas nie dotyczyło. Tak jednak nie było. Tuż po zajęciu Wołynia przez Związek Radziecki na tych terenach wyraźnie zaktywizowali się Żydzi, w większości reprezentujący bardzo życzliwy stosunek do nowych władców. Chodziło o przedstawicieli niższych warstw społeczności żydowskiej (biedniejszych), które już zresztą przed wojną wyraźnie sympatyzowały z komunizmem. Tak było również i w Rafałówce. Nawet córka naszych gospodarzy, którzy wszak byli Żydami, stała się nagle znaczącą postacią w nowych lokalnych władzach. I wówczas to rafałowscy Żydzi przypomnieli sobie o stosunku do nich mego ojca, który nigdy, jak już wspomniałem, nie ukrywał swojej wyraźnej antypatii do przedstawicieli narodu żydowskiego. Wychodząc ze słusznego założenia, że niektórzy Żydzi będą chcieli rozliczyć się z nim, popadł w panikę,



Fot. archiwum rodzinne

oczekując lada chwila aresztowania lub innych represji ze strony aktualnych władz. Nie chcąc, jak sam to wyraźnie mówił, by ślady jego karaimskiej działalności literackiej poniewierały się później na śmietnikach, postanowił je zniszczyć. Pamiętam jak dziś ojca, który siedzi przy zapalonym ogniu w piecu, przy zasłoniętych szczelnie oknach i poleca mojej matce, by wrzucała do ognia wszystkie jego rękopisy i prace drukowane w różnych wydawnictwach. Bardzo dokładnie pilnował, aby uległy one całkowitemu spaleni. Dotyczyło to zwłaszcza rękopisów niepublikowanych wierszy w języku karaimskim, a także setek „fiszek” opracowywanego przez niego słownika karaimskiego. Wprawdzie w późniejszym okresie próbował odtworzyć to, co zniszczył, jednakże nie zdołał tego dokonać. Wkrótce przecież zmarł.

Tymczasem niedługo po zajęciu przez wojska sowieckie Rafałówki, rozpoczęły się represje polityczne i te natury etnicznej skutkujące wywózkami Polaków zamieszkujących w Rafałówce i jej okolicach. Dotyczyło to nie tylko Polaków uważanych za wrogów narodu, ale i ich rodzin.

I tu stała się rzecz zadziwiająca. Otóż właśnie Żydówka poinformowała matkę, że ojciec został zaliczony do grona tych wrogów, że lada chwila zostanie aresztowany, a my wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego. Ta sama „informatorka” poradziła, by w tej sytuacji ojciec wraz z Selimem (który również nie ukrywał swojej nieżyczliwości wobec Żydów) jak najszybciej zniknęli z Rafałówki. Rzecz jasna ojciec skwapliwie zastosował się do tej rady i natychmiast uciekł z Selimem do Łucka, nie pozostawiając rzecz jasna wskazówek, gdzie zamierza przebywać.

Beztronskie chwile. Serdgiusz Rudkowski z żoną Tamarą (z prawej) i Marią z Eszwowiczów Gołubową oraz chłopcami: Markiem Gołubem (z lewej), Selimem i Nazimem.



Fot. archiwum rodzinne

Selim Rudkowski  
(1924–1942)

Nie pamiętam, jak długo ojciec z bratem ukrywali się w Łucku, wiem tylko, że zamieszkiwali w pomieszczeniach karaimskiego domu parafialnego.

Po pewnym czasie, dość zresztą długim, ta sama „informatorka” przekazała matce wiadomość, że sprawa ojca przycichła i przycichło również zainteresowanie naszą rodziną, może on więc wraz z Selimem wrócić do Rafałówki. Jak okazało się później, źródłem zarówno ostrzeżenia ojca przed aresztowaniem, jak i o możliwości powrotu do Rafałówki była wspomniana wcześniej córka naszych gospodarzy. Nie wiem na pewno, ale zachowanie ojca po powrocie z Łucka, zwłaszcza po wymordowaniu przez Niemców, z pomocą ukraińskich „policajów”, Żydów rafałowieckich, nie tylko wskazywało, że przeżył to bardzo, ale zapewne musiał być bardzo zażenowany, że to właśnie Żydówka uratowała nas od bezpłatnej wycieczki na Syberię.

Tak więc do naszej podróży w głąb Rosji nie doszło i spokojnie dożyliśmy w Rafałówce do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku.

Okres okupacji niemieckiej w jej początkowej fazie przebiegał w Rafałówce stosunkowo spokojnie. Próby ukraińskich nacjonalistów stworzenia *samostijnej* (suwerennej) Ukrainy nie odniosły skutku i wkrótce Niemcy przejęli administrację okupowanymi terenami. Wykorzystywali do pomocy mieszkańców Rafałówki narodowości ukraińskiej, w tym do służby w podległych sobie jednostkach policji. Na terenie Rafałówki germański porządek zabezpieczał również, nieliczny zresztą, posterunek niemieckiej żandarmerii wojskowej, a w późniejszym czasie również niemiecki garnizon wojskowy, który zajmował się w zasadzie jedynie ochroną stacji kolejowej i patrolowaniem torów. Ojciec został powołany do zajmowania się sprawami pomocy społecznej w urzędzie gminy, a później przez krótki okres pracował w miejscowej mleczarni.

O kontynuowaniu nauki przeze mnie i brata oczywiście mowy nie było. Wprawdzie krótko po rozpoczęciu okupacji niemieckiej nacjonaści ukraińscy próbowali zagonić wszystkie dzieci rafałowieckie do ukraińskiej szkółki, ale i to szybko się zakończyło na skutek zdecydowanego zwalczania tych szkółek przez partyzantkę radziecką. Stąd też spędzałem czas wolny z miejscowymi chłopakami na polach i łąkach, trochę handlowałem ze stacjonującymi przez pewien czas Rumunami z jednostki wojskowej (za przedmioty wyrabiane ze srebra można było u nich kupić wszystko, łącznie z baterią dział).

Selim jakiś czas mieszkał w Łucku pracując tam zarobkowo, a po pewnym czasie wrócił do Rafałówki, gdzie również znalazł zatrudnienie. Następnie wyjechał i wkrótce potem zginął<sup>6</sup>.

W tym okresie ze względów etnicznych życie przebiegało stosunkowo spokojnie i mogło się wydawać, że nic nam nie grozi. Przez miejscowe władze traktowani byliśmy na równi ze wszystkimi mieszkańcami bez względu na ich narodowość. Początkowo nie obserwowało się, a przynajmniej ja tego nie zauważyłem, by Niemcy przejawiali jakieś szczególne formy prześladowania nawet wobec Żydów.

Ten pozorny spokój jednak długo nie trwał. Wkrótce Niemcy zorganizowali w Rafałówce zbiorcze getto dla miejscowych oraz zwożonych ze wszystkich okolicznych miejscowości Żydów. Te działania Niemców wobec Żydów przypominały i nam o naszej odrębności etnicznej. Nazywając po imieniu, odczuliśmy strach i grozę, w jaki sposób mogą potraktować Niemcy nas.

Wprawdzie tuż po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej (a być może i wcześniej) dotarł do Karaimów polskich jakiś dokument wydany przez niemieckie władze okupacyjne, potwierdzający ich niesemickie pochodzenie. Takie zaświadczenie dotarło i do nas, ale przecież los nasz był zależny wyłącznie od tego, jak miejscowe władze niemieckie, korzystające niewątpliwie z doradztwa ukraińskich kolaborantów, potraktują ten dokument, a przecież do Łucka, gdzie znajdowały się okupacyjne władze Wołynia było bardzo daleko. Któżby dostrzegł utonięcie kilku Karaimów rafałowieckich w parotysięcznej masie spędzonych do getta Żydów, wymordowanych wkrótce w pobliskim lesie? Obserwowałem przez szparę w zasłoniętym oknie dwie grupy pędzone do pobliskiego lasu przez niewielką liczbę policajów i Niemców. Do lasu, z którego dla nich powrotu nie było. Obraz ten we mnie tkwi do chwili obecnej, przy czym najbardziej przerażająca była dla mnie absolutna bierność i śmiertelna cisza prowadzonych na zagładę ludzi.

Niezależnie od eksterminacji przez Niemców osób pochodzenia żydowskiego, pojawiło się inne zagrożenie, a mianowicie mordowanie przez banderowców mieszkających na Wołyniu Polaków, za których przez większość Ukraińców i my byliśmy uważani. Tym razem niebezpieczeństwo było dla nas tak samo groźne, jak dla Polaków. Żadne zaświadczenie nie uratowałoby nas przed nim. W tej sytuacji jedynym ratunkiem, zarówno dla nas, jak i dla pozostałych zamieszkujących w Rafałówce Polaków, była

ucieczka do większych ośrodków miejskich. Dla nas takim ośrodkiem był oczywiście Łuck.

Tak też zrobiliśmy. W połowie kwietnia 1943 roku, pociągiem towarowym wyjechaliśmy do Łucka. Podróż była dość męcząca i trwała cała doba, gdyż bezpośredniego połączenia nie było. Musieliśmy się przesiadać. Druga przesiadka wypadła w Kiwercach. Przyjechaliśmy tam nad ranem, po nieprzespanej nocy spędzonej przy tobołach złożonych dosłownie pomiędzy torami kolejowymi na stacji w Kowlu. Jak więc mogliśmy wyglądać po wyładowaniu się na peron stacji w Kiwercach można sobie wyobrazić.

W najgorszym stanie był ojciec, miał on już wówczas 68 lat i raptownie, zwłaszcza po śmierci Selima, stał się schorowanym, zniechęconym do życia starcem. Przestał dbać o swój wygląd, wielodniowy zarost, zwłaszcza dość długa, gęsto przetkana siwizną i niezbyt za dbana broda dopełniały jego naprawdę wręcz zastraszającego wyglądu. Ojca umieściliśmy na obłożonej tobołami stojącej na peronie ławce, a nasz zaniedbany podróżą wygląd nie mógł budzić wątpliwości, że byliśmy grupką uciekinierów. Nie trudno było to zauważyć spacerującemu w tym czasie po peronie w oczekiwaniu na przyjazd kolejnego pociągu niemieckiemu oficerowi polowej żandarmerii wojskowej, który po pewnym czasie zaczął dość uważnie nam się przyglądać. Przechodząc obok nas po raz kolejny, zatrzymał się i wskazując wyciągniętą ręką na ojca, ze zdumieniem wykrzyknął: „Du bist Jude!“. Nie potrafię obecnie odtworzyć, co w owej chwili odczuwałem, chyba nie za bardzo dotarła do mnie wówczas groza powstałej sytuacji. Pamiętam natomiast wyraz przerażenia malujący się na twarzy matki próbującej coś tłumaczyć Niemcowi, który zażądał naszych „auswajsów”. Matka próbując coś tłumaczyć żandarmowi, wyjęła ze swojej torebki i wreszcie wręczyła mu nasze dokumenty wraz z jakimś zaświadczeniem. Jak się okazało, było to, jak wspomniałem wcześniej, wydane przez niemieckie władze okupacyjne zaświadczenie stwierdzające niesemickie pochodzenie Karaimów. Po zapoznaniu się z naszymi dokumentami i wspomnianym zaświadczeniem oficer żandarmerii nie wyglądał na nazbyt przekonanego ich treścią, ale w tym właśnie czasie wjechał na peron oczekiwany pociąg do Łucka, co przyspieszyło oddanie nam dokumentów i pozostawienie nas w spokoju. Nigdy przedtem, ani nigdy potem nie udało mi się w takim błyskawicznym tempie włączyć się wraz z pakunkami i prawie nieprzypadkowym ojcem do ruszającego już pociągu.

Dopiero znacznie później pojąłem, że w czasie opisanego zdarzenia na stacji kolejowej w Kiwercach w piękny pogodny poranek otarła się o nas śmierć. Wystarczyło przecież napotkać zajadłego hitlerowca, a wspomniane zaświadczenie niewiele by pomogło. Co tu dużo mówić, wygląd ojca niczym się wówczas nie różnił od wyglądu typowego starego Żyda, a gdyby żandarm chciał zweryfikować swoje podejrzenia znany wszystkim sposobem sprawdzania mężczyzn, to nie miałby żadnych wątpliwości, że ma do czynienia z ukrywającymi się Żydami. Finał tego, jak by skończyła mini karańska diaspora z Rafałówki, można sobie bez trudu wyobrazić. Ojciec odtajał dopiero później, gdy znaleźliśmy się [w Łucku].

W odnalezionych niedawno przeze mnie zapisach ojca dotyczących kilku ostatnich lat jego życia istnieje przy dacie 13 kwiecień 1943 r. następujący zapis w języku rosyjskim: „Wtorek, odjazd z Kowla i przybycie do Łucka, sukces z przewiezieniem bagażu. W Kiwer[cach] incydent z powodu brody”. Tak mój ojciec skwitował dosłownie w trzech wyrazach zdarzenie na stacji, które przecież mogło się zakończyć rozwaleniem nas w kiwereckim lesie.

Wydaje mi się, że ojciec nie zrozumiał tego do końca. To zdarzenie było jednak dla niego nauczką. Od tej chwili aż do swojej śmierci nie opuszczał mieszkania, nie ogoliwszy się. Po przyjeździe do Łucka zamieszkaliśmy u mojej ciotecznej siostry Loli, która mnie zresztą właściwie wyniańczyła. Wkrótce zacząłem pracować zarobkowo w charakterze gońca w niemieckiej firmie handlowej, co mi oczywiście nie przeszkadzało nawiązać ścisłego kontaktu z moimi karańskimi rówieśnikami: Markiem Gołubem, którego ojciec w przeszłości przyjaźnił się z moim ojcem, oraz z Gienkiem Robaczewskim, którego wujek, Zachariasz Szpakowski<sup>7</sup>, był moim ojcem chrzestnym. Przyjaźń nasza trwała i po przyjeździe do Polski i trwa do chwili obecnej z Markiem, a z Gienkiem trwała do jego przedwczesnej śmierci. Przyjaźniłem się również z rodzeństwem Eszwowiczów, ciotecznymi braćmi Marka<sup>8</sup>. Czas wolny spędzaliśmy nad brzegami Styru na obrzeżach ulicy Karańskiej. Blisko byłem również z Józkiem Nowickim, moim przyszłym szwagrem, chroniącym się „ciężką chorobą nerek” przed wywiezieniem na roboty do Niemiec.

Dzięki uprzejmości zaprzyjaźnionego z rodzicami pana Kaliskiego<sup>9</sup>, który zapraszał mnie wraz z matką na święta karańskie, połączenie niekiedy z odbywającymi się w jego mieszkaniu

Selim i Nazim jako gimnazjaliści.





Fot. archiwum rodzinne

Ostatnie wspólne zdjęcie łuckich Karaimów i ich sąsiadów przed opuszczeniem Łucka. Lipiec 1945 r. Nazim Rudkowski stoi trzeci od lewej.

wspólnymi karaimskimi modłami, dość szybko zaadoptowałem się wśród starszego pokolenia Karaimów Łuckich. Wprawdzie nie były to już czasy, w których umiejscowiona była akcja opisana w *Zapiskach karaimskiego uczniaka*, a Łuck wszak to nie Krym z owych czasów, a i liczebność Karaimów w Łucku była nieporównanie mniejsza od dżymatu krymskiego, ale to, co zastałem w Łucku było wystarczające, by poczuć radość znalezienia się wreszcie wśród swoich Rodaków. Uczucie to towarzyszyło mi zwłaszcza w czasie uczestniczenia w nabożeństwach odbywających się w kienesie karaimskiej. Wprawdzie modlitwy w czasie tych nabożeństw odczytywano z ksiąg sporządzonych w języku hebrajskim i alfabetem hebrajskim (wówczas to rozumiałem, dlaczego ojciec w pierwszej kolejności chciał nauczyć nas alfabetu hebrajskiego), lecz to mi wcale nie przeszkadzało. Wystarczała mi świadomość, że jestem wreszcie wśród swoich i w świątyni karaimskiej. Polubiłem panującą w kienesie przed i w czasie nabożeństwa wręcz rodzinną atmosferę (przecież Karaimi łucy byli chyba wszyscy w bliższym lub dalszym stopniu spowinowaceni lub spokrewnieni ze sobą). Lubiałem także swisty, niepowtarzalny pogwar w czasie trwania nabożeństw, powstający na skutek głośnego wspólnego, choć indywidualnego odczytywania fragmentów lub pełnych tekstów z modlitewników. To wszystko stwarzało w moim odczuciu niepowtarzalny koloryt tylko naszych, karaimskich modłów.

W moim przekonaniu, atmosfera tych wspólnych chwil świadczyła, że wszyscy w nich uczestniczący odczuwają, tak jak ja, radość

z bycia razem. Już wówczas rozumiałem, jak silne są więzy łączące Karaimów polskich, jeśli przez tak długi, mierzony wiekami, okres przebywania w oderwaniu od swego ojczystego gniazda potrafili godnie zachować swoją ojczystą tożsamość i odczuwać tak głębokie do tego przywiązanie.

Tak to wówczas rozumiałem, a w słuszności tego poglądu utrwaliło mnie pewne zdarzenie, mające miejsce podczas jednego z nabożeństw w łuckiej kienesie. Opiszę to później, aby nie naruszać chronologii wydarzeń.

Tymczasem życie moje i rodziców toczyło się monotonnie bez szczególnych wstrząsów. Pracowałem w dalszym ciągu zarobkowo, osiągając dość znaczne przychody do domowego budżetu. Wspomnę tylko, że w ramach wynagrodzenia za pracę otrzymywałem deputat w postaci drożdży, będących wówczas najbardziej poszukiwanym artykułem, zwłaszcza do wyrobu bimbru. Prześladowania Karaimów w sensie etnicznym w Łucku już nam nie zagrażały, nie zagrażały nam też już rzezie dokonywane przez banderowców na Polakach.

Wspomniane zagrożenia ustąpiły całkowicie z chwilą zajęcia 5 lutego 1944 r. Łucka przez wojska radzieckie. Niemcy oporu nie stawiali, stąd też nikt z mieszkańców Łucka nie ucierpiał. Nie mogę jednak pominąć zdarzenia związanego z wejściem do Łucka wojsk radzieckich.

Otóż ojciec bardzo przeżywał zbliżający się powrót wojsk radzieckich, a zatem powrót znienawidzonych przez niego komunistów. To było prawdopodobnie powodem, że nagle zachorował i w dniu 7 lutego 1944 roku zmarł. Ciało jego, ubrane i przygotowane do włożenia do trumny, leżało jeszcze na stole w dużym pokoju, do którego wchodziło się bezpośrednio z klatki schodowej. W tym czasie władze radzieckie rozpoczęły nabór mężczyzn w wieku 15-16 lat w celu wywiezienia ich w głąb Rosji. Nabór był bardzo prosty. Zespół werbowników składał wizyty w mieszkaniach i wszystkich młodych mężczyzn, których tam zastał, wpisywał do właściwych rejestrów. Wizytę taką złożyli i w naszym mieszkaniu, lecz gdy zobaczyli ciało ojca, jeden z nich, prawdopodobnie kierujący tą grupą, przeprosił nas za najście i wraz z pozostałymi opuścił mieszkanie. W ten sposób śmierć ojca pozwoliła mi uniknąć ponownego znalezienia się w państwie rządzonego przez bolszewików – ojciec już z za grobu ochronił swego syna od wywiezienia w głąb Rosji. Tak więc z chwilą śmierci ojca zakończyła istnienie rodzina tworząca niegdyś przez dziesięć lat, w całkowitym oderwaniu od swego matecznika,

mini enklawę karaïmską. Tak też zakończył swoje życie jeden z ostatnich ortodoksyjnych patriotów karaïmskich.

Śmierć jego przypadła w okresie „bezkrolewia” – Niemcy już odeszli, a Rosjanie jeszcze nie objęli władzy. Rzecz jasna nie działały zakłady pogrzebowe. Stąd też wynikała kwestia przewiezienia ciała ojca na położony w znacznej odległości od naszego mieszkania cmentarz karaïmski. W związku z tym zdecydowaliśmy się wraz z Markiem [Gołubem] przewieźć trumnę ze zwłokami ojca na dwóch połączonych ze sobą sankach. Jednak dzięki operatywności pana Kaliskiego udało się nam wynająć chłopa z saniami, który przyjechał na rozeznanie do Łucka. Podstawowym argumentem, który wpłynął na pozytywną decyzję tego człowieka, był cały mój deputat drożdży.

Dzięki wspomnianemu panu Kaliskiemu pogrzeb ojca odbył się według wszelkich zasad religii i zwyczajów karaïmskich. Nie sposób pominąć tu faktu, że później władze radzieckie zniszczyły ten cmentarzyk karaïmski o niewątpliwie historycznym charakterze i zasadziły na tym terenie dorodne wołyńskie kartofle. Po usadowieniu się w Łucku władz radzieckich nastąpił okres stosunkowego spokoju i stagnacji. Ja wkrótce zacząłem pracę zarobkową w jednym z sowieckich przedsiębiorstw handlowych, a następnie z chwilą rozpoczęcia roku szkolnego poszedłem do siódmej klasy rosyjskiej dziesięciolatki. Marek wstąpił do szkoły ukraińskiej (poprzednio pracował jakiś czas jako pracownik fizyczny), ale nasze kontakty przyjacielskie nie ustawały, tyle, że nie było już Gienka Robaczewskiego, który wcześniej wyjechał z matką z Łucka<sup>10</sup>. Zmniejszyła się również liczebnie cała gmina łuckich Karaïmów. Wielu z nich opuściło miasto jeszcze przed zakończeniem okupacji niemieckiej w Łucku, niektórzy padli ofiarą politycznych prześladowań, niektórzy zostali powołani do wojska.

Mimo to, pozostali łucy Karaïmi utrzymywali ze sobą kontakty spotykając się zwłaszcza na wspólnych uroczystościach religijnych, w tym na nabożeństwach odprawianych w kienesie. Właśnie z tym okresem wiąże się wzmiankowane wcześniej, do dziś niezatarte wspomnienie zdarzenia podczas nabożeństwa w kienesie. Był kwiecień 1944 roku, panowała piękna, słoneczna, wiosenna pogoda. Nabożeństwo odbywało się z okazji święta Paschy. Uczestniczyli w nim prawie wszyscy miejscowi Karaïmi, panował świąteczny nastrój i rozlegał się gromki pogwar, typowy przy odmawianiu zbiorowych modłów karaïmskich.

Nagle drzwi wiodące do kienesy zostały przez kogoś otwarte na całą szerokość. Szybkim krokiem, niemalże biegnąc wpadł do wnętrza postawny młody mężczyzna w połowym mundurze polskiego oficera. Po dojsciu do hechału [oltarza] padł przed nim na kolana. W kienesie zapanowała kompletna cisza, a na twarzach obecnych, łącznie z wiodącym nabożeństwo, odmalowało się i zdziwienie, i strach, i zaskoczenie. Ciszę przerwał wreszcie czyjś głośny okrzyk: „Przecież to Mieczek!”, po czym we wnętrzu zapanował harmider i okrzyki powitania. Nabożeństwo szybko się zakończyło, przybyły oficer polski porwany został przez znających go Karaïmów. Jak się okazało, tym „intruzem” był rodowity Karaïm, Mieczek Sulimowicz<sup>11</sup>, który w stopniu oficerskim pełnił służbę w II Armii Wojska Polskiego. Armia ta w owym czasie stacjonowała w lasach kiwerekich, a następnego dnia opuszczała okolicę. Dopiero później uświadomiłem sobie, jak silna więź łączyła tego młodego oficera z jego karaïmskimi korzeniami. Z Mieczkiem Sulimowiczem spotkałem się znacznie później, po wyjeździe z Łucka do Polski. Był już wówczas wysokiej rangi oficerem Wojska Polskiego, pełniącym szereg poważnych w tym wojsku funkcji. Niemniej nigdy nie przestał utrzymywać stosunków z Karaïmami mieszkającymi w miejscach jego aktualnej służby. Zawsze jednak pamiętam tego młodego oficera Wojska Polskiego, niemalże chłopca, który w kwietniu 1944 r. wtargnął do kienesy, by choć na chwilę znaleźć się wśród swoich, w swojej świątyni.

Nazim Rudkowski



Fot. archiwum rodzinne

Nazim Rudkowski z matką. W tle, na ścianie portret Selima.

## Przypisy

<sup>1</sup> Tarbut – powstały po I wojnie światowej świecki ruch syjonistyczny, w ramach którego tworzono hebrajskojęzyczne szkoły i instytucje kultury.

<sup>2</sup> Tamara Rudkowska nie była Karaïmką.

<sup>3</sup> Z karaïm. *ata* – ojciec.

<sup>4</sup> Autora zawiodła w tym miejscu pamięć – chodzi o ekspedycję włoskiego antropologa prof. Corrado Giniego, która badała Karaïmów w 1934 r.

<sup>5</sup> Sergiusz Rudkowski nadał synom tureckie imiona. Selim – imię poch. arabskiego, oznaczające „solidny, pozbawiony braków, właściwy”, noszone przez tureckich sułtanów i chanów krymskich. Nazim, tur. Nazim, oznacza „układający wiersze, poeta” (nosił je jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów tureckich, Nazim Hikmet, potomek Dżelalettina Paszy, polskiego emigranta Konstantego Borzęckiego).

<sup>6</sup> Selim Rudkowski zginął we wrześniu 1942 r. w niewyjaśnionych okolicznościach. Według przekazów rodzinnych z rąk ukraińskich nacjonalistów.

<sup>7</sup> Zachariasz Szpakowski (1901–1986), urzędnik skarbowy, sekretarz Zarządu gminy karaïmskiej w Łucku. Po wojnie mieszkał w Warszawie.

<sup>8</sup> Chodzi o synów Samuela Eszwowicza, brata Marii z Eszwowiczów Gołubowej.

<sup>9</sup> Józef Kaliski (1887–1986), działacz społeczny, członek przedwojennych władz gminy karaïmskiej w Łucku. Po wojnie osiadł w Opolu.

<sup>10</sup> Alina Robaczewska z synem Eugeniuszem i bratem, Zachariaszem Szpakowskim wyjechała do Warszawy w styczniu 1944 r.

<sup>11</sup> Chodzi o Józefa Sulimowicza (1913–1973), zwanego Mieczkiem, Karaïmą z Halicza, przedwojennego studenta turkologii na Uniwersytecie Warszawskim, po wojnie dyrektora Centralnej Biblioteki Wojskowej. Por. A. Sulimowicz, *Mieczek i Siunek*, „Awazymyz” 2013, nr. 1 (38), s. 4–13, .